

Jeden podręcznik

Ewa Radanowicz, dyrektor Zespołu Szkół Publicznych w Radowie Małym

Informacja Ministerstwa Edukacji Narodowej o wprowadzeniu od następnego roku szkolnego bezpłatnego podręcznika dla pierwszoklasistów wzbudziła wiele emocji. Z jednej strony, projekt ministerstwa wywołuje zdecydowany sprzeciw wydawców i uzasadnione obawy części środowiska oświatowego. Z drugiej strony, może być to dobre rozwiązanie, odciążające zarówno nauczycieli, uczniów, jak i rodziców. Muszę przyznać, że jestem za zmianą, chociaż wcale nie chodzi mi o to, żeby komukolwiek ułatwić życie – przede wszystkim mam na uwadze dobro uczniów i poziom ich wykształcenia.

Moją pierwszą myślą było stwierdzenie, że propozycja ministerstwa to dobra wróżba, bo to, co w tej chwili dzieje się na rynku wydawnictw edukacyjnych, nie do końca dobrze służy szkole, uczniom i rodzicom. Dlaczego? Bo podręczniki są za drogie, bo za dużo różnych książek, zeszytów ćwiczeń i innych „pomocy” uczeń musi codziennie nosić w tornistrze. Dodatkowo niepokoi fakt, że wszystkie te rzeczy trzeba kupować w pakiecie – bez względu na to, czy wszystkie się przydadzą. Nauczyciel nie może się zdecydować na pracę jedynie z podręcznikiem danego wydawnictwa, ponieważ rodzic musi kupić podręcznik wraz z ćwiczeniami. I oczekuje, co jest zrozumiałe, że skoro zapłacił, to dziecko będzie z tego zestawu korzystało.

Później pomyślałam jednak, że podręcznik przygotowywany w pośpiechu i przy bojkocie ze strony wydawnictw, niektórych nauczycieli i rodziców nie może się sprawdzić i choć intencje są słuszne, to prawdopodobnie szkoda zachodu.

A może wystarczyłoby ograniczyć pakietowanie podręczników z ćwiczeniami i innym oprzyrządowaniem? Może przekazanie pieniędzy do szkół i pozwienie im dokonania wyboru podręcznika, spośród tych istniejących, byłoby najlepszym rozwiązaniem? Wtedy interesy wszystkich stron byłyby pogodzone, a MEN nie szykowałoby podręcznika, który może być skazany na niepowodzenie z powodu pośpiechu, presji środowiska nauczycielskiego i sztucznie podkręcanych oczekiwań odbiorców. Wydawnictwa mogłyby na tym zyskać: zmodyfikowałyby swoje podręczniki i zlikwidowałyby pakiety, ale w zamian za to pozostałyby na rynku i nadal dbałyby o interesy swoje, szkół i odbiorców. Rodzice mogliby wypożyczać książkę od szkoły nieodpłatnie. A sama szkoła, jaki miałaby w tym wszystkim zysk?

No właśnie – dzięki uregulowaniu rynku wydawniczego podręczników istniałaby duża szansa na uwolnienie nauczycieli od gotowców wykorzystywanych w codziennej pracy z dziećmi. Dziesiątki ćwiczeń, kolorowanek, wyklejanek oraz dodatkowych zbiorów zadań, które ma wypełnić dziecko, znacząco ogranicza jego wszechstronny rozwój. Przecież młodszy wiek szkolny to czas na stymulowanie i ćwiczenie motoryki małej i dużej, pobudzanie naturalnej ciekawości, kształcenie podstawowych umiejętności, takich jak słuchanie i mówienie. Do tego wszystkiego nie są potrzebne zeszyty ćwiczeń, ale pomysłowi nauczyciele i dobre warunki do pracy.

Sprawa podręcznika może mieć także inne, pozytywne konsekwencje. Powinna na przykład wywołać – i chyba już wywołuje – dyskusję na temat tego, po co w ogóle dzieci przychodzą do szkoły, w jakie umiejętności trzeba je wyposażać i jak trzeba się przygotować do pełnienia nauczycielskiej roli. Wiemy przecież o tym, że dzieci, które we wrześniu 2014 roku pójną do szkoły, to zupełnie inne dzieci niż te, które rozpoczynały naukę w poprzednich latach. Czasy się zmieniają, a jednak czekamy na uczniów z tym samym pakietem książek, ćwiczeń i zasad organizacyjnych.